

„Książka, której wszyscy właśnie teraz potrzebujemy”.  
Holly Bourne

BESTSELLER  
NR 1  
„NEW YORK TIMESA”

**ABSOLUTNIE  
FANTASTYCZNA  
SPRAWA  
HANK  
GREEN**

BUKOWY LAS

Robot po prostu stał na środku chodnika. Biła z niego energia i moc. Sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz zwrócić się w moim kierunku i wbić we mnie władcze spojrzenie. Na razie pozostawał jednak w bezruchu i niemal wzgardliwym milczeniu, jakby świat nie zasługiwał na jego uwagę. Latarnie oświetlały pancerz – metalową mozaikę matowej jak noc czerni oraz lustrzanego srebra. Nie ulegało wątpliwości, że to prawdziwa stal, a nie pokryty sprejem kartonowy kostium fana cosplayu. Mistrzowskie wykonanie. Stałam jak zaczarowana może przez pięć sekund, po czym przeszedł mnie dreszcz – trochę z zimna, a trochę dlatego, że to coś na mnie patrzyło – i ruszyłam dalej.

I wtedy. Poczułam. Się. Jak. Najgorsza. Szuja.

Przecież sama jestem artystką i chodzę do tej parszywie nudnej roboty tylko po to, żeby stać mnie było na płacenie wygórowanego czynszu i mieszkanie w tym mieście – jednym z najbardziej żywych, twórczych i wpływowych ośrodków kultury na świecie. Oto na chodniku, tuż przed moim nosem, stoi dzieło sztuki – imponująca instalacja, w którą twórca włożył masę wysiłku i mnóstwo czasu, zapewne lata; która powstała, by ludzie zatrzymali się przed nią, spojrzeli i pomyśleli. I oto ja, zobojętniała przez życie w wielkim mieście i umysłowo wyczerpana godzinami przesuwania pikseli na ekranie, nie potrafię przystanąć przy czymś tak cudownym na dłużej.

Bardzo dobrze pamiętam, co stało się potem, i czuję, że warto o tym opowiedzieć.

**ABSOLUTNIE  
FANTASTYCZNA  
SPRAWA**



**HANK GREEN**

**ABSOLUTNIE  
FANTASTYCZNA  
SPRAWA**

przełożyła

Ewa Pater-Podgórna

BUKOWY  LAS

Tytuł oryginału: *An Absolutely Remarkable Thing*

Copyright © 2018 by Hank Green

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem do reprodukcji w całości lub we fragmencie w jakiegokolwiek formie.

Copyright © for the Polish edition and translation  
by Dressler Dublin Sp. z o.o., 2021

ISBN 979-83-8074-321-2

Nr 21000006

PROJEKT OKŁADKI I ILUSTRACJA: Kaitlin Kall

POLSKA WERSJA OKŁADKI: Paweł Cesarz

REDAKCJA: Sonia Mozel

KOREKTA: Iwona Gawryś

REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:

Wydawnictwo Bukowy Las

ul. Sokolnicza 5/21, 53-676 Wrocław

[www.bukowylas.pl](http://www.bukowylas.pl)

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:

Dressler Dublin Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. (+ 48 22) 733 50 31/32

e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)

[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)



DRUK I OPRAWA: Druk-Intro S.A.

*Dzięki, Mamo!*





## ROZDZIAŁ 1

**S**łuchajcie, zdaję sobie sprawę, że przywiodła was tu ochota na porywającą opowieść, w której pojawia się intrygi, tajemnice, przygody, ktoś otrze się o śmierć, a ktoś umrze naprawdę. Jednak zanim do tego przejdziemy (choć możecie oczywiście zacząć lekturę od rozdziału trzynastego, przecież wam nie zabronię), musicie zrozumieć, że ja, April May, jestem nie tylko chodzącym objawieniem – jednym z najważniejszych w historii ludzkości – lecz także dwudziesto-paroletnią kobietą, która popełniła kilka błędów. Mam przy tym nad wami tę przewagę, że to ja tu pociągam za sznurki. To moja historia i będę ją opowiadała tak, jak chcę. Przy okazji poznacie nie tylko moje przygody, ale i mnie samą – z góry uprzedzam: bez dramatów się nie obędzie. Postaram się być z wami tak szczerą, jak to możliwe, ale wątpię, by udało mi się zachować pełen obiektywizm w stosunku do własnej osoby. Jeśli w ogóle wyciągniecie z tej historii coś dla siebie, to prawdopodobnie na koniec nie opowiecie się po żadnej ze stron i ze zrozumieniem przyjmiecie, że jestem (a przynajmniej byłam) tylko człowiekiem.

Odczuwałam tę ludzką marność szczególnie mocno, wlokąc swój zmęczony odwłok do domu Dwudziestą Trzecią Ulicą o 2.45 nad ranem, po szesnastogodzinnym maratonie w start-upie, którego nazwy (za sprawą podpisanej przeze mnie cholerne niekorzystnej umowy) nie mogę wyjawić. Studia artystyczne mogą się wydawać kiepską decyzją pod względem finansowym – zwłaszcza jeśli na sfinansowanie tej wydumanej ścieżki edukacyjnej bierze się jeden kredyt studencki za drugim. Oczywiście ja tak właśnie zrobiłam. Moi rodzice są właścicielami prężnie działającej firmy dystrybuującej sprzęt mleczarski do małych i średnich gospodarstw. Sprzęt, czyli na przykład te ustrojstwa, które przyczepia się do krów, żeby je wydoić – tym właśnie handlowali. Interes szedł dobrze, na tyle dobrze, że gdybym poszła na uczelnię stanową, naszą rodzinę byłoby na to stać. Wybrałam jednak inaczej. Wzięłam kredyt. I to więcej niż jeden. Po parokrotnej zmianie specjalizacji (marketing, sztuki piękne, fotografia, ilustracja) zdecydowałam się na przyziemne (ale przynajmniej praktyczne) projektowanie graficzne, po którego ukończeniu poszłam do pracy; najważniejszym kryterium była pensja w wysokości pozwalającej mi na samodzielne utrzymanie się w Nowym Jorku, a tym samym wyprowadzkę z domu rodziców w Północnej Kalifornii.

Robota, o której mowa, to ten przekłety start-up, finansowany przez tabun bogaczy mających tylko jedno, przeokropnie nudne marzenie: jeszcze więcej pieniędzy. Pracując w tym miejscu, stałam się członkinią start-upowej „rodziny”. Jeśli więc cokolwiek szło nie tak, pojawiała się zadanie do zrobienia na wczoraj, jeśli inwestor się o coś pieklił albo po prostu b o t a k, siedziałam w firmie do trzeciej w nocy. Czego, szczerze mówiąc, nienawidziłam. Nie mogłam znieść myśli, że opracowywana przez nas

aplikacja do zarządzania czasem była pomysłem kretyńskim i nikomu w niczym nie pomagała. Wkurzało mnie też, że chociaż wzięłam tę robotę wyłącznie dla kasy, szefostwo wymagało, bym traktowała ją jak najważniejszą rzecz na świecie. Oznaczało to także, że brakowało mi czasu na projekty osobiste.

ALE!

Pracowałam jako graficzka, czyli zgodnie z wykształceniem, i zarabiałam wystarczająco, żeby opłacić czynsz, a nie minął nawet rok, od kiedy otrzymałam dyplom. Wprawdzie warunki zatrudnienia były zbliżone do niewolnictwa, a połowa pensji szła na nocleg w salonie dwupokojowego mieszkania, ale jakoś dawałam radę.

Trochę rozminęłam się z prawdą. Owszem, moje łóżko stało w salonie, noce spędzałam jednak głównie w drugim pokoju – w sypialni Mai. Nie mieszkaliśmy ze sobą: byliśmy współlokatorkami, a April-z-przeszłości zależałoby na tym rozróżnieniu. W czym tkwi różnica? Cóż, zanim wyładowałyśmy pod jednym dachem, nie byłyśmy parą. Wejście w związek ze współlokatorką to rozwiązanie wygodne, ale niepozbawione pewnej niezręczności. W końcu mieszkaliśmy ze sobą przez większość studiów. W momencie rozpoczęcia tej historii byliśmy ze sobą od ponad roku.

Kiedy z kimś się mieszka, a potem zaczyna się z tą osobą być, to w jakich właściwie okolicznościach pada propozycja wspólnego zamieszkania? W przypadku moim i Mai wyglądało to następująco: „Może wyniosłabyś ten używany materac z pokoju dziennego, żebyśmy mogły oglądać Netfliksa jak ludzie, siedząc na kanapie?”, na co odpowiedziałam: „Nie ma mowy, jesteśmy tylko współlokatorkami, które ze sobą chodzą”. Dlatego w naszym salonie wciąż jest dodatkowe miejsce do spania.

Upredzalam, że bez dramatów się nie obędzie.

Ale wróćmy lepiej do tamtej pamiętnej styczniowej nocy. Nowa wersja naszej durnej aplikacji miała być dostępna w App Store już za tydzień. Siedziałam w pracy tak długo,

bo czekałam na zatwierdzenie ostatnich poprawek interfejsu użytkownika i paru innych równie nudnych bzdetów. Zamiast przyjść do biura wcześniej, zostałam po godzinach – od zawsze bardziej mi to pasowało. Mój mózg zlasował się od prób zrozumienia mglistych wytycznych szefostwa, które nie odróżniało grafiki rastrowej od wektorowej. Wreszcie wyszłam z budynku (wynajmowaliśmy część przestrzeni coworkingowej, nie osobne biuro) i trzy minuty później byłam na stacji metra.

Automat przy wejściu odrzucił moją kartę MetroCard BEZ ŻADNEGO POWODU. Na biurku w pracy leżała zapasowa, a ponieważ nie wiedziałam, ile kasy mam na tej odrzuconej, wyglądało na to, że najrozsądniej będzie wrócić do biura.

Zapała się zielone, przechodzę więc na drugą stronę Dwudziestej Trzeciej; taksówkarz ryczy klaksonem, jakbym nie miała prawa być na przejściu. Sorry, stary, chyba wiem, jakie mam światło. Skręcam w stronę biura i zauważam to coś od razu. Z każdym krokiem nabieram pewności, że to naprawdę... ale to NAPRAWDĘ niezwykła rzeźba.

Jest GENIALNA, a do tego „nowojorsko genialna”. Wiecie, co mam na myśli?

Jak by to wyjaśnić? Zdaje się, że... cóż... w Nowym Jorku ludzie potrafią poświęcić dziesięć lat na próby stworzenia czegoś naprawdę świetnego; czegoś, co odda istotę jakiejś idei tak doskonale, że nagle świat stanie się dziesięć razy bardziej rozumiały. Czegoś pięknego, o mocnym przekazie; czegoś, na co twórca przeznaczył sporą część życia. Lokalne media szybko podchwytyją temat, przez chwilę wszyscy wzdychają: „Nieźle!”, by nazajutrz puścić to w niepamięć i zachwycić się kolejną ABSOLUTNIE GENIALNĄ I FANTASTYCZNĄ RZECZĄ. Nie oznacza to, że poprzednie obiekty zachwyty nie są cudowne i wyjątkowe... Smutna prawda jest taka, że gdy w jednym miejscu mieszka tyłu ludzi, którzy robią świetne rzeczy, trudno uniknąć pewnego zblazowania.

Tak się właśnie czułam tamtej nocy, patrząc na trzymetrowego transformera ubranego w zbroję samurajską z wypukłym napierśnikiem, wiszącym dobre półtora metra nad moją głową. Robot po prostu stał na środku chodnika. Biła z niego energia i moc. Sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz zwrócić się w moim kierunku i wbić we mnie władcze spojrzenie. Na razie pozostawał jednak w bezruchu i niemal wzgardliwym milczeniu, jakby świat nie zasługiwał na jego uwagę. Latarnie oświetlały pancerz – metalową mozaikę matowej jak noc czerni oraz lustrzanego srebra. Nie ulegało wątpliwości, że to prawdziwa stal, a nie pokryty sprejem kartonowy kostium fana cosplayu. Mistrzowskie wykonanie. Stałam jak zaczarowana może przez pięć sekund, po czym przeszedł mnie dreszcz – trochę z zimna, a trochę dlatego, że to coś na mnie patrzyło – i ruszyłam dalej.

I wtedy. Poczuałam. Się. Jak. Najgorsza. Szuja.

Przecież sama jestem artystką i chodzę do tej parszywie nudnej roboty tylko po to, żeby stać mnie było na płacenie wygórowanego czynszu i mieszkanie w tym mieście – jednym z najbardziej żywych, twórczych i wpływowych ośrodków kultury na świecie. Oto na chodniku, tuż przed moim nosem, stoi dzieło sztuki – imponująca instalacja, w którą twórca włożył masę wysiłku i mnóstwo czasu, zapewne lata; która powstała, by ludzie zatrzymali się przed nią, spojrzeli i pomyśleli. I oto ja, zobojętniała przez życie w wielkim mieście i umysłowo wyczerpana godzinami przesuwania pikseli na ekranie, nie potrafię przystanąć przy czymś tak cudownym na dłużej.

Bardzo dobrze pamiętam, co stało się potem, i czuję, że warto o tym opowiedzieć. Zawróciłam, podeszłam do rzeźby, wspięłam się na palce i powiedziałam:

– Chyba powinnam zadzwonić do Andy’ego. Co ty na to?

Robot, zgodnie z przewidywaniami, nie zareagował.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, po prostu stój bez ruchu.

Wyjęłam telefon i wybrałam właściwy numer.

Ale zanim dojdzie do rozmowy, pozwolę sobie opowiedzieć więcej o Andym!

Zmiany są nieodłączną częścią ludzkiego życia. W momentach dla nas przełomowych – na przykład na koniec studiów – myślimy często: „Na sto procent, bez cienia wątpliwości, będę utrzymywać kontakt z tymi wszystkimi drogimi mojemu sercu, fantastycznymi ludźmi, z którymi spędziłam tyle lat – niezależnie od tego, że zarówno moje, jak i ich życie właśnie diametralnie się zmienia”. A tak naprawdę równie dobrze w tym samym momencie moglibyśmy usunąć tych wszystkich ludzi z grona znajomych na Facebooku, bo niby gdzie i jak mielibyśmy ich jeszcze spotkać? Cóż, Andy’emu, Mai i mnie udało się (jak na razie) uniknąć tego scenariusza. Maya i ja oszukałyśmy przeznaczenie, wprowadzając się razem do niespełna czterdziestometrowego mieszkania. Z Andym było inaczej – mieszkał na drugim końcu miasta i poznaliśmy się dopiero na trzecim roku. Na tamtym etapie wybrałyśmy z Mayą praktycznie te same zajęcia, bo naprawdę bardzo się lubiłyśmy. Wszystkie zadania grupowe wykonywałyśmy razem. Ale profesor Kennedy dzielił studentów na grupy trzyosobowe, co oznaczało, że dołączy do nas ktoś obcy. I jakoś tak się stało, że przyczepił się do nas Andy (choć z jego perspektywy pewnie to my przyczepiłyśmy się do niego).

Kojarzyłam go z innych zajęć. Był dla mnie „tym kolesiem, który zgrywa pewnego siebie o wiele bardziej, niż powinien”. Chudy, niezgrabny, bladej jak ściana. Podejrzewałam, że prosi fryzjera o takie cięcie, które wyglądało, jakby nigdy się nie strzygł. Trzeba jednak przyznać, że był mistrzem ciętej – a do tego zwykle celnej i zabawnej – riposty.

W ramach zadania mieliśmy stworzyć identyfikację wizualną dla wymyślonej marki nieistniejącego produktu. Opakowanie było elementem nieobowiązkowym, należało natomiast

przygotować kilka propozycji logotypu oraz przewodnik po stylu (czyli niedużą książeczkę, która opisuje wszystkim zainteresowanym sposób prezentacji marki oraz zasady używania czcionek i kolorów w konkretnych sytuacjach). Razem z Mayą byliśmy praktycznie pewne, że przyjdzie nam pracować nad wizerunkiem jakiejś zmyślonej modnej i superetycznej firmy, produkującej džinsy z kompletnie bezużytecznymi kieszeniami, czy coś w tym stylu. Choć szczerze mówiąc, studenci chyba najczęściej wybierali rzemieślniczy browar. Najwyraźniej płaciliśmy masę pieniędzy za te studia tylko po to, by snobować się na wielkich znawców piwa.

Jestem przekonana, że gdyby nie Andy, tak by się to skończyło. Chłopak wykazywał jednak nieznośny upór i jakimś cudem namówił nas, by tematem projektu stała się „Zooypoopa”, czyli guma do żucia o smaku... pupy. Z początku jego argumentacja wydawała nam się głupawa – tłumaczył, że po dyplomie będziemy pracować dla samych nudnych, snobistycznych marek, więc możemy sobie pozwolić na potraktowanie tego projektu z przymrużeniem oka. Ostatecznie zmieniliśmy zdanie, gdy uderzył w poważniejsze tony.

– Dziewczyny, posłuchajcie – zaczął – to żadna sztuka pokazać fajny produkt w fajny sposób. Właśnie dlatego wszyscy wybierają takie pomysły. Ale to w gruncie rzeczy straszna nuda. A gdybyśmy tak sprawili, żeby coś skrajnie głupiego wyglądało świetnie? Z kitu zrobili hit? To dopiero wyzwanie. Do tego potrzebny jest talent. Pokażmy, że go mamy.

Pamiętam ten moment wyraźnie, bo właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że Andy jest znacznie bardziej interesujący, niż mi się początkowo wydawało.

Kończąc projekt, czułam pewną wyższość nad resztą ludzi z roku, którzy z takim przejęciem planowali strategię dla etycznych džinsów i rzemieślniczych piw. Nasz produkt wypadł

naprawdę świetnie. Andy okazał się – niby o tym wiedziałam, ale nie sądziłam, że to takie ważne – niezwykle zdolnym ilustratorem, a połączenie jego rysunków ze zdolnościami kaligraficznymi i typograficznymi Mai oraz moim wyczuciem kolorów dało znakomity efekt.

Tak się poznaliśmy i jestem za to ogromnie wdzięczna. Szczerze mówiąc, Andy był potrzebny, aby skontrolować intensywność związku rodzącego się między mną a Mayą. Po „Zooy-poopie”, która wprawiła Kennedy’ego w taki zachwyt, że umieścił nasz projekt na oficjalnej stronie kursu, robiliśmy razem wszystko. Współpracowaliśmy nawet przy zleceniach komercyjnych. Od czasu do czasu Andy wpadał do nas z planszówkami i zmuszał do grania. Potrafiliśmy całymi wieczorami rozmawiać o polityce, naszych marzeniach i obawach. To, że był mną wyraźnie zauroczony, w niczym nikomu nie przeszkadzało, bo wiedział przecież, że jestem zajęta, a Maya chyba nigdy nie widziała w nim zagrożenia. Jakimś cudem nasz układ wytrzymał zakończenie studiów i wciąż spotykałyśmy się z zabawnym, dziwnym, bystrym i głupkowskim Andym Skamptem.

Do którego właśnie dzwoniłam o trzeciej nad ranem.

- April, co jest, kuźwa...? Mamy środek nocy.
- Cześć. Znalazłam coś, co powinieneś zobaczyć.
- Myślę, że to może poczekać do jutra.
- No nie wiem. To naprawdę duża sprawa. Weź ze sobą aparat. Czy Jason ma jakieś dodatkowe oświetlenie?

Jason był współlokatorem Andy’ego i obaj marzyli o internetowej sławie. Udostępniali streamingi swoich gier wideo (zasięgi były marne) i prowadzili na YouTubie podcast, w którym rozmawiali o najlepszych scenach śmierci w filmach i serialach. Z mojego punktu widzenia cierpienia na nieuleczalną dolegliwość trapiącą całą masę dzianych facetów, którzy, na przekór licznym dowodom, żyli w przekonaniu, że światu naprawdę potrzebny



jest kolejny komediowy podcast prowadzony przez dwóch białych mężczyzn. Brzmi to ostro, ale tak wtedy uważałam. Dziś doskonale rozumiem, że łatwo poczuć się nieistotnym, kiedy nikt nas nie obserwuje. Zaczęłam nawet słuchać *Śmierćspotting* i muszę przyznać, że chłopaki są naprawdę zabawne.

– Czekaj... Co się właściwie dzieje? Co takiego mam zrobić? – dopytywał.

– Masz przyjść pod Gramercy Theatre, przytargać ze sobą tyle sprzętu do nagrywania od Jasona, ile zdołasz, a ja gwarantuję, że nie pożałujesz. Nawet nie myśl o powrocie do tej twojej gierki *hentai*, czy co tam robiłeś... To jest lepsze. Słowo.

– A grałaś w piątą część *Wiśniowej Wróżki Kwiatuszki*? Skąd ta pewność, April May?

– Rozłączam się... Do zobaczenia za pięć minut.

Wcisnęłam czerwoną słuchawkę.

Kiedy czekałam na Andy'ego, minęło mnie kilka osób. Manhattan nie jest już taki szalony jak kiedyś, ale to wciąż miasto, które nigdy nie zasypia. A także miasto mówiące wszem wobec: „Mam wszystko tak bardzo gdzieś, że bardziej się nie da”. Przechodnie obrzucali rzeźbę krótkim spojrzeniem, nie zwalniając kroku, tak jak i ja na samym początku. Próbowалам wyglądać na zajęta. Nowy Jork nie jest szczególnie niebezpieczny, co nie znaczy, że dwudziestotrzylatki stojącej samotnie na ulicy w środku nocy na pewno nie spotka nic niemiłego.

Poświęciłam tych parę minut na uważne przyjrzenie się rzeźbie. W tym mieście nawet o tak późnej porze nie jest ciemno, dookoła świeciła cała masa latarni, ale rzucane przez figurę głębokie cienie i jej imponujące rozmiary sprawiały, że nie potrafiłam jej zrozumieć. Była ogromna. Ważyła pewnie kilkaset kilogramów. Zdjęłam rękawiczkę i dotknęłam palcem metalowej powłoki, ze zdumieniem odkrywając, że nie jest chłodna. Nie była też wprawdzie ciepła... ale bez wątpienia

twarda. Uderzyłam rzeźbę w okolice bioder, nie rozległ się jednak oczekiwany przeze mnie metaliczny brzdęk. Odgłos był raczej głuchy, a potem usłyszałam cichy szum. Pomyślałam, że może właśnie o to chodziło twórcy. Mieszkańcy Nowego Jorku mieli po prostu wchodzić w interakcje z tym obiektem... odkrywać jego właściwości. W szkole artystycznej dużo się rozmyśla o twórczych celach i założeniach. Nastawienie domyślne to: WIDZIEĆ SZTUKĘ → KRYTYKOWAĆ SZTUKĘ.

W końcu zaprzestałam analiz i zaczęłam po prostu cieszyć się rzeźbą. Coraz bardziej mi się podobała. Nie tylko jako wytwór innego człowieka, ale w taki sposób, w jaki może zachwycać naprawdę dobra sztuka. Przyjemnie się z nią obcowało. Nigdy nie widziałam niczego podobnego. Zachwycała mnie jej „transformerowość”. Ja sama nie odważyłabym się podjąć tematu robotów w swoich pracach... Nikt nie chce, by jego twórczość kojarzono z *mainstreamem*. Artyście trudno wyobrazić sobie gorszy los.

Ale ta figura była zdecydowanie czymś więcej niż kreatywnym cytatem z popkultury. Nie umiałam jej przyrównać do żadnej innej znanej mi rzeźby ani w ogóle do czegokolwiek, co widziałam wcześniej. Przyglądałam się jej w głębokiej zadumie, z której wytrącił mnie dopiero Andy.

– Ożeż w mordę... – jęknął w zachwycie. Miał ze sobą plecak, trzy futerały i dwa statywy.

– Taa – odparłam.

– To. Jest. GENIALNE.

– Wiem... A tak niewiele brakowało, żebym ją olała. Pomyślałam, że to po prostu kolejny „zajebicie fajny nowojorski bajer”, nawet nie zwolniłam kroku. Ale po chwili zorientowałam się, że nic o niej nie słyszałam i powinieneś się o tym dowiedzieć, przecież ciągle czekasz na temat, który okaże się twoim wielkim internetowym wiralem. Dlatego postanowiłam jej dla ciebie pilnować.

– Czekaj, czekaj... Czy dobrze rozumiem, że kiedy zobaczyłaś tę wielką, piękną, muskularną postać, w twojej głowie pojawił się ANDY Skampt? – spytał, wskazując na siebie kciukami.

– LOL – prychnęłam. – Po prostu chciałam ci zrobić przysługę, oto i ona. Wystarczy, że podziękujesz.

Andy, odrobinę zmieszany, podał mi statyw.

– W takim razie zacznijmy rozstawiać sprzęt. I to szybko, zanim ktoś z telewizji się tu napatoczy i zgarnie nam temat.

Pięć minut później kamera była na statywie, reflektory na baterie rzucały oślepiające światło, a Andy kończył mocować mikrofon do klapy kurtki. Nie wyglądał już tak niepoważnie jak na studiach. Przestał nosić bejsbolówki z durnymi napisami, a niesforną (czy raczej nietypową) fryzurę zamienił na krótsze, swobodne cięcie dopasowane do kształtu twarzy. A jednak, chociaż mierzył dwadzieścia centymetrów więcej niż ja i byliśmy w tym samym wieku, wciąż sprawiał wrażenie o pięć lat młodszego ode mnie.

– April – zaczął.

– No?

– Myślę, że to ty powinnaś stanąć przed kamerą.

W odpowiedzi wydałam z siebie zdezorientowane chrząknięcie.

– Stary, to twoje marzenie, nie moje. Nie mam zielonego pojęcia o YouTubie.

– Chodzi o to, że... No wiesz... – wiał się w odpowiedzi.

Z perspektywy czasu – choć nigdy go o to nie zapytałam – uważam, że Andy już w tamtym momencie mógł rozumieć powagę sytuacji. Przynajmniej częściowo; nie miał przecież pojęcia, jak to się potoczy.

– Niech ci się tylko nie wydaje, że będę ci cokolwiek dłużna, bo załatwisz mi chwilę internetowej sławy. Wcale mi na tym nie zależy.

– Oj, dobra. Chodzi o to, że nie potrafisz obsłużyć tego sprzętu – tłumaczył, wyraźnie szukając wymówki. Nie mogłam zrozumieć dlaczego.

– Okej, za kamerą jestem do bani, ale niewiele lepiej zachowuję się przed obiektywem. Ty i Jason nadajecie w internecie całymi dniami, a ja w sumie nie korzystam nawet z Facebooka.

– Masz za to konto na Instagramie.

– To co innego – uśmiechnęłam się krzywo.

– Nie do końca. Wiem, że nie wrzucasz tam byle czego. Mnie nie oszukasz. Jesteś cyfrową dziewczyną w cyfrowym świecie, April. Każde z nas wie, jak występować przed publicznością.

Byłam Andy’emu wdzięczna za to bezceremonialne podsumowanie. Miał całkowitą rację. Udawałam, że nie dbam o media społecznościowe, i faktycznie wolałam prowadzić dyskusje w prawdziwych galeriach niż na Twitterze. Ale nie żyłam aż tak poza siecią, jak bym chciała. Irytacja starannie wykreowanymi internetowymi personami była elementem mojej własnej starannie wykreowanej osoby. Mimo to oboje czuliśmy, że uzasadnienie Andy’ego jest w tym wypadku naciągane.

– Andy, powiedz, o co biega naprawdę.

– No bo – wziął głęboki wdech – uważam, że dla autora lub autorki tej rzeźby będzie lepiej, jeśli to ty o niej opowiesz. Ja jestem błaznem. Dobrze wiem, jak wyglądam. Nikt nie bierze mnie na serio. A ty, w tym twoim dwurzędowym płaszczu i z wydatnymi kośćmi policzkowymi, wyglądasz jak prawdziwa artystka. Sprawiasz wrażenie kogoś, kto zna się na rzeczy. Faktycznie wiesz, o czym mówisz, i umiesz to robić, dziewczyno. Jeśli ja się do tego zabiorę, wyjdzie z tego jeden wielki żart. Poza tym to ty ją znalazłaś.

W przeciwieństwie do większości ludzi z kierunku naprawdę dużo czasu poświęcałam na studiowanie sztuki. Różnica między sztuką a projektowaniem graficznym może się na pierwszy rzut oka wydawać nieoczywista. Sztuka jest dla sztuki, istnieje dla samej siebie. Z kolei projektowanie to forma sztuki, która służy innym celom. Można je przyrównać do inżynierii wizualnej. Swoje

studia zaczęłam od sztuk pięknych, ale pod koniec pierwszego semestru doszłam do wniosku, że pewnego dnia będę chciała pójść do pracy. Przeniosłam się więc na marketing, który szybko znienawidziłam, i tak, parę zmian później, trafiłam na grafikę. I zostałam. Wciąż jednak poświęcałam na śledzenie manhattańskiej sceny artystycznej więcej czasu i energii niż moi koledzy i koleżanki ze studiów. Między innymi z tego powodu tak bardzo chciałam tu zostać. Zabrzmi to niemądrze, ale status dwudziestokilkuletniej mieszkanki Nowego Jorku sprawiał, że czułam się ważna. Choć sama nie tworzyłam sztuki, to przynajmniej pracowałam w tym genialnym mieście, z dala od rodziców i ich przyziemnego świata wypełnionego sprzętem mleczarskim.

Andy nie wyglądał, jakby miał ustąpić, a ja doszłam do wniosku, że to w gruncie rzeczy nic takiego. Wpięłam mikrofon po wewnętrznej stronie bluzki. Na kablu czułam jeszcze ciepło ciała Andy'ego. Reflektory mnie oślepiły, ledwo widziałam obiektyw kamery. Zrobiło się zimno, wiał lekki wietrzyk, na chodniku nie było nikogo poza nami.

– Gotowa? – zapytał Andy.

– Daj mi mikrofon – powiedziałam, wskazując na leżącą na ziemi otwartą torbę.

– Majk w kłapie leci, nie potrzebujesz nic więcej.

Nie rozumiałam tego żargonu, ale mniej więcej załapałam, o co chodzi.

– Potrzebuję rekwizytu... – wyjaśniłam. – Wiesz, że niby... przeprowadzam z tym czymś wywiad.

– Aaa... jasne... – przytaknął i podał mi mikrofon.

– Okej – powiedziałam.

– Dobra, kręcimy.

Polub nas  
na Facebooku 

**KUP TERAZ**



swiatksiazki.pl

Fot. Ashe Walker



## **HANK GREEN**

amerykański vloger, przedsiębiorca, pisarz i muzyk, jest szefem firmy Complexly, zajmującej się produkcją treści edukacyjnych, takich jak YouTube'owe serie Crash Course i SciShow, które przyniosły mu miano „jednego z najpopularniejszych nauczycieli przedmiotów ścisłych w Ameryce”. Green jest również inicjatorem VidConu, największej konferencji dla internetowej społeczności wideo. Współ z swoim bratem Johnem Hank angażuje się w ważne projekty charytatywne.

Mieszka w Montanie razem z żoną, synem i kotem. Niedawno wydał z sukcesem kontynuację *Absolutnie fantastycznej sprawy* pt. *A Beautifully Foolish Endeavor*.

„Tą zabawną opowieścią o ciemnej stronie internetowej sławy Green staje się pełnoprawnym pisarskim rywalem swojego brata”. **PEOPLE**

„Wciągająca, trzymająca w napięciu lektura, która bawi do rozpuku. Wiedziałem, że Hank sprawdzi się jako pisarz, ale nie sądziłem, że już za pierwszym razem pójdzie mu tak świetnie”. **John Scalzi**

# ABSOLUTNIE FANTASTYCZNA SPRAWA

Oryginalna, dowcipna, inteligentna powieść  
o życiu w internecie i poza nim

Wędrująca przez Nowy Jork o trzeciej nad ranem dwudziestotrzyletnia April May napotyka gigantyczną rzeźbę. Zachwycona widokiem trzymetrowego transformera w samurajskiej zbroi, namawia swojego kumpla Andy'ego do uwiecznienia znaleziska w krótkim filmiku, który szybko publikują na YouTube. Następnego dnia okazuje się dla April początkiem nowego, viralowego życia, zwłaszcza że takie same roboty pojawiły się jednocześnie w kilkunastu miastach na świecie – od Pekinu po Buenos Aires. April, jako pierwsza reporterka tego wydarzenia, ląduje w centrum zainteresowania mediów i postanawia skorzystać z szansy, by zostawić po sobie jakiś ślad na ziemi. Nie wie jednak, jak wielkiej i zdumiewającej sprawy stała się częścią.

Hank Green, brat słynnego pisarza Johna Greena, w swoim literackim debiucie porusza ważne i aktualne tematy.

Mówi o wpływie mediów społecznościowych, o sposobach radzenia sobie ze strachem i niepewnością, o hejcie i uwielbieniu towarzyszącym osobom, których życie wystawione jest na widok publiczny.

„Z April May będziecie z miejsca chcieli się zaprzyjaźnić. W końcu to dziewczyna, która przeżywa niewiarygodne przygody z udziałem gigantycznych robotów, rozwiązuje we śnie łamigłówki i z dnia na dzień zostaje gwiazdą internetu”.

Lev Grossman

Nr 21000006

ISBN 978-83-8074-321-2



9 788380 743212

Cena 39,90 zł  
(w tym VAT)

[www.bukowylas.pl](http://www.bukowylas.pl)

Polub nas  
na Facebooku

